



LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 1-575.

Redakcyja: Chmielna Nr 26.

Warszawa, 7 stycznia 1887 r.

26 grudnia 1886 r

Tom XXIII.



Nowy rok 1887.

Z WARSZAWY.

Już tydzień minął.—Opatrzność i ekonom.—Ziemia i guziczek.—Nie prolog ale uwertura.—Tad. Orzechowski i jego ocean oświetlony.—Spacer z Ameryki do Europy.—Spokój człowieka i spokój morza.—Melodye lutni i rzeczywistości.—Jak wyżyćwieć ruchome miliony ludzi.—Głodomorki i czarne huzary.—Trupie główki na balu.—Co myślą nasi kucharze o głodomorkach.—Kuszenie kucharskie. Ucałowana ręka gościnniej gospođyńi. — S. p. J. N. Leszczyński.

Przez tydzień cały, jaki oddzielił nas od starego roku, ludzie mieli dość czasu do oplakania strat i zawodów; kto do dziś dnia nie rozplótł jeszcze rąk załamanych aby dalej pchać taczkę swoją, ten znowu z końcem bieżącego roku pozostanie za innymi, ten znowu na Gwiazdkę znajdzie w taczce same odczarowania, skargi, samę niedolę. Nie chcąc doczekać się takiego pakunku, przystępuję do kronikarskiej orki bez żadnego prologu, zwijam zasłonę noworoczną, z której wychyla się znak zapytania, syczący dwoma łbami jak u węża i szydzący z naszych zabiegów; przystępuję do roboty wiedząc dokąd idę, czego pragnę, ile na własne siły a ile na pomoc ludzką liczyć trzeba. Czy jeden czy tuzin zagonów wyorzę, czy bursztyn czy żelazo z wnętrzości ziemi wydobędę, czy deszcz rolę mi zaleje, czy grad ziarno wytłucze, będę zawsze lepszym przez szczerłość pracy swojej, będę silniejszym przez doświadczenie; jeżeli zaś łza wypadnie z oka, wstydić się jęj nie będę, pójdę z nią wśród ludzi, poszukam serc bratnich a twarz się wypogodzi.

Ale dlaczegóż wróży sobie same łzy i niedolę? czyżby rolnik siał ziarno, gdyby nie spodziewał się, że z chmur czarnych, co podczas siejby ciągną nad jego głową, wyjrzy jasne słońce? A ktoby tam rozumem swoim doszedł, jakim sposobem z chmury, która pachnie smołą a patrzy zniszczeniem, nagle złote słońce wypływa; z kąd wyfrunie skowronek, którego najbystrzejsze oko na całym horyzoncie dojrzeć nie zdola. Rolnik robi co do niego należy a Opatrzność ocenia jego pracę i wedle tego jaki sąd o niej wypadnie, rozda nagrody lub upomnienia, zaleca cierpliwość lub zaprasza do stołu zastawionego biesiadą. Tylko z Opatrzności nie róbmy swego ekonomia, który chatę strzeże od ognia a dobytek od żarłoczności wilka, który nosi wodę do garnka na liściach kapusty tępi liszki a młoda katorosć okręca na zimę słomą; ekonomijmy sobie sami a Opatrzności pozostawmy rolę wodza, który ma na oku wszechświat cały, nietylko jednę naszą ziemię, która jest może najpośledniejszym guziczkiem w szacie mocarza bez początku i bez końca.

Ułomność człowieka jest jego siłą; gdybyśmy wiedzieli więcej niż wiemy, gdybyśmy sprytu swego nie brali za geniusz rozwiązujący zagadkę życia, gdybyśmy rozumieli gwiazdy co błyszczą nad nami... bylibyśmy pokorni jak biedak, co w całości ubrania ma tylko jedną pętelkę; ale ułomność nasza z każdego wynalazku robi koturny pod stopy człowieka, który na szczydłach zarozumiałości paradować lubi.

Zarzekalem się prologu, a wygrywam nawet uwerturę, ale kto się raz dotknie klawiszów niebieskich, ten by już w muzykę ich ciągle się wsluchiwał.

Jak to trudno oderwać ucho od tych melodyj ze sfer niedojrzanych, jak się nie chce z gwiazd brylantowych zejść na ziemię ściśniętą mrozem, bez liści, bez kwiatów, bez bocianów i skowronków. Ale śmiało! wyskakuję z edenu niebieskiego, jak z przerębla, i wpadam szczęśliwie w objęcia Tadeusza Orzechowskiego, o którym mówią i piszą obie półkule ziemskie, a mówilyby gdyby umiały głębie morskie, do których genialny inżynier przyczepia liny z większą łatwością, niż my przyczepiamy dewizkę do zegarka. Ziomek nasz, przed którym czapkują anglicy, hiszpanie i włosi—spojrzał na „Statuę wolności”, wzniesioną w porcie Nowego Jorku, zmierzył promień światła tej pochodni gazowej i zagłębił potem wzrok w ciemnie oceanu, co w tej właśnie chwili rozbijał się z wściekłością o granitem wymoszczone wybrzeża. Rozproszę ciemności! pomyślał i nakreślił projekt oświetlenia... całego oceanu.

Kiedy nad nieskończoną płachtą wód noc zapanuje — inżynier każe jęj ustąpić i okręty płynąć będą niby dorożka, pędząca przez ulicę oblaną światłem elektrycznym. Inżynier

postawi na kotwicy co dwieście mil morskich, na całej drodze z Ameryki do Europy, okręty strażnicze, które będą połączone z sobą liną dostarczającą okrętom światła elektrycznego a zarazem służącą za telefon, łączący z sobą brzegi dwóch światów. Okręty pełnić będą służbę latarni elektrycznych; wśród nocy podróźni zobaczą jak potwory morskie wychodzą na żer i będą mogli stawić wcześniej opór burzy, która w ciemnościach napada na nieprzygotowanych.

Pomysł naszego ziomka zadziwił uczonych specjalistów a ucieszył tych wszystkich, dla których noc czarna na morzu jest wyobrażeniem piekła; najwięcej jednak za tę drogę uliminowaną błogosławić go będą biedni tułacze, którzy przez długie lata nie wyruszając poza granicę swęj wioski, nagle maszą płynąć po niezmiernych obszarach wody, aby na drugiej półkuli znaleźć dla siebie i rodziny dach lub grób. Ci co w wspaniałych sypialniach, w jedwabnych hamakach kołyszą się, kiedy okrętem burza miota — mogą znieść łatwiej groźną ciemność nocy niż nędzarze zapakowani w kajutach dla włóczęgów... w powietrzu, co dusi a życie obrzydza. Dla tych ślimaków, których gniecie los i zgnieść nie może, oświetlona droga będzie świątynią: na pokładzie kiedy zasną bogaci—odetchną ubodzy, popatrzą niebu w oczy i odczytają książkę nabożną w rodzinnym języku, której liter w ciemnej kajucie dopatrzeć nie mogli, tylko jęj karty blademi ustami całowali.

Gdybym kronikę tę pisał na okręcie, przeszedłbym odrazu z polityki syczącej do łabędziowego śpiewu lutni lub cytry; nigdy człowiek nie oddycha tak swobodnie, kiedy go namiętność minie, jak oddycha morze, kiedy spiętrzone fale opadną. Po najstroższej burzy, skoro się nagle niebo wypogodzi i otoczy cię cisza, jaka bywa w sypialni jedynaka, nad którą sama matka czuwa — przysięgłbyś, że już nigdy niebo się nie zasępi, nigdy słońca chmura nie połknie, nigdy okręt nie zatrzeszczy, ani się maszty w pałak nie wygną; ale przy biurku zarzuconém gazetami politycznymi, po których płomyki i iskry złowieszce harcują, po odczytaniu ostatnich wiadomości o kolosalnych uzbrojeniach i armiach gotowych na pierwsze hasło bożka wojny — wsluchiwanie się w melodye, przy których motyl na róży drzemie, wygląda na żart z rzeczywistości. Podług ścisłych obliczeń siła wojenna ~~uzbrojonych państw europejskich wynosi~~ 13 000 000 żołnierzy, uzbrojonych od stóp do głowy.

Niejednemu z nas cywilnych wyrobników skóra cierpnie, kiedy pomyśli sobie, coby robił w razie otrzymania marszałkowskiej buławy nad takim mrowiskiem najeżoném bagnietami, obstawioném kartaczownicami. Buława to rzecz łakoma, ale nie zazdroszczę temu, komu się w noc noworoczną taki prezent przyśnił; z pewnością obudził się on z bólem głowy.

A jednak od tej ciężkiej roli jest cięższa, na którą zwrócił mi uwagę pewien obserwator głodomorków: niechże mi kto z pospolitych śmiertelników odpowie, jak działać aby te ogromne wojska były zawsze najedzone, aby żadnemu żołnierzowi nigdy nie brakowało chleba, mięsa, wina lub wódki; na czém i jak nosić te piramidy pożywienia za armią, która jak wicher przerzuca się z miejsca na miejsce, przeskakuje rzeki, ginie nagle za górami aby znowu pokazać się tam, gdzie wczoraj pogaszono obozowe ogniska?

Co powiedzą na to nasze gosposie, które bez poradnika nie potrafią zadysponować obiadu, co powiedzą małżonkowie, którzy w impertynencki humor wpadają jeżeli obiad spóźni się o pięć minut a kawa czarna nie jest dość gorąca?

Wyżywienie takiej armii uważam za sztukę godną geniuszu cesarów, a nagrodę konkursową za napisanie dobrej o tém rozprawy otrzymałby chyba tylko marszałek Moltke, bo ten wie jak trawa rośnie, lub pani Œwierciakiewiczowa, która karmiąc obiadami przez rok cały za „pięć złotych”, zasłużyła na większą sławę niż zagraniczni głodomorkowie.

Czy z głodomorków będzie jaka korzyść dla ludzkości — o tém powiem aż zobaczę żołnierzy nie mających nic w ustach od miesiaca a jednak maszerujących żwawo i obojętnych na kiszkę grochową, wyglądającą z tornistra powalonego nieprzyjaciela.

Skóra mi cierpła kiedy patrzył w Berlinie na przeciągające przez ulice miasta szeregi ludzi, którym z czupryny

wyrastała trupia głowa z piszczelami. Wszyscy ustępowali z drogi, jak przed widziałem z tamtego świata, zdawało się w uszach brzmieć echo pogrzebowych dzwonów, obnażone szable huzarów czarnych wyglądały jak świece woskowe krepą przewiązane a echa kopyt końskich jęczały jak echo łopaty grabarza. Ale huzary z trupią głową na karku przestali mię straszyć, kiedy ich zobaczył polkujących na balu, bawiących się wachlarzami, proszących o listek pamiątkowy z bukietu swjej tancerki i spijających w bufecie szampana. Bal odbywał się na trawniku, w ogrodzie, tancerze nie zdejmowali z głowy swych nakryć — więc i trupie głowy polkowały jak skielety Holbeina.

Czcigodny przyjaciel naszego pisma, mieszkaniec zakątkowa włoskiego, w ostatnim swoim liście wspominając o głodomorkach popisujących się postami w Paryżu, zapytuje, co na to mówi warszawski mistrz delikatesów, który firmą swoją reprezentuje warszawskie łakomstwo, jak trupia główka na kasku czarnego huzara reprezentuje męstwo germanów.

Otóż mistrz kulinarny nie lęka się wstrzemięźliwych; dajcie mi, mówi on, takiego Succia albo Merlatta, a po trzech godzinach skuszę go swemi frykasami! Nie sztuka suszyć przez miesiąc cały, kiedy ani oczy nie widzą, ani nos nie czuje arcydzieł kucharskich; łatwo być bohaterem w czterech ścianach, pomiędzy którymi niema ani jednego słoika z homarem, ani jednej butelczyny ze szlachetną marką, w pokoju szczelnie odgradzonym od wszelkich przyjemności... w jakich człowiek-zwierzątko kąpać się lubi. Róbcie z nimi doświadczenia lekarskie w moich apartamentach—proponuje kupiec—w obecności kwiatów hodowanych w moich rądlach i flakonikach, a dopiero wówczas uwierzę, że z tych głodomorków będą żołnierze, którzy po miesięcznym głodzie nie zrabują szlachetnej mojej instytucji.

Zapuszczam zaslonę na stopy pieczeni polkniętych, na piramidy butelek wypróżnionych, na paki ekspedycyjne pod dach wiejski w Roz... nad Nurcem; zapuszczam zaslonę na łakomstwo nasze i lekkomyślność, a rękę gospodyni, wycalowaną ustami gości uraczonych aż do nieprzytomności—odtrącam lekceważąco, jako rękę złej obywatelki, lekkomyślnej żony i matki.

Na klęczkach pili strzemiennego a pani Telesfora z Pi-jackich Objadalska ocierała łzy rozczulenia; my pod kolana nasypalibyśmy grochu a łzy pogrzebalibyśmy w popiele, bo z nich tylko nędzka dla kraju wyrośnie. Zapuszczamy teraz zaslonę; podniesiemy ją kiedyś w środku roku i wówczas wyprowadzimy na scenę marnotrawnych ludzi, którzy za grosz pożyczony kaptują sobie żołądki sąsiadów.

Kronika zeszłoroczna przekazała nam spuściznę żalobną—wdzięczni uczniowie ponieśli do grobu czcigodne zwłoki ś. p. J. N. Leszczyńskiego, zasłużonego wychowawcy młodzieży przez długie lata. Kochany to był przewodnik, miał dla swoich przybranych dzieci serce ojca i radę mędrca; z różnym zasobem wiedzy wychodzili z jego pensyi uczniowie, to zależało od ich zdolności i starania, ale złego posiewu nie zamieśli oni w życie rodzinne i obywatelskie; jeżeli zaś znalazł się odrodek, to nie wina przewodnika ale późniejszych stosunków.

Ostatni raz słyszeliśmy ś. p. Leszczyńskiego przemawiającego do Józefa Brandta. Było to na uczcie owacyjnej dla znakomitego artysty, który z „Powitania stepu” zrobił malowany poemat. Sędziwy nauczyciel winał sobie, że z jego szkoły wyszedł uczeń tyle ceniony przez społeczeństwo, a uczeń odpowiedział, że dziś nie siedziałby może na miejscu tak zaszczytnym wśród grona kolegów i przyjaciół, gdyby nie siedział był na ławkach czcigodnego profesora. Uścisk dłoni mistrza nauczyciela z mistrzem artystą zakończył ten rozdział romansu, jaki zawiązuje się na całe życie między dzieckiem a zastępcą jego rodziców.

Wieczny pokój ręce, co tak dzielnie kierowała młodzieżą; wieczny pokój sercu, co się krwawiło na wieść o niedoli lub upadku moralnym wychowawca.

SEP.

HERB NA GIEŁDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

U małych okien wiszą białe zasłony; za oknami rozpościera się górski krajobraz. Góry po nad góry piętrzą się coraz wyżej, jedne ciemniejsze, drugie fioletowe a inne błękitną mgłą zabarwione.

Przez okno patrzy na te góry nizki, silnie zbudowany mężczyzna z resztkami siwych włosów na głowie; z długiego cybucha ciągnie dymek siny i układa go na szybie w takie same warstwy, w jakich wznoszą się przed nim góry rodzinne.

Pokój był niewielki, skromnie urządzone. Podłoga czysto wymyta, kanapka nieco wyszarzana, parę stolików, kilka krzeseł, a na szarych ścianach pejzaże i dwa duże konterfekty olejne.

Przy jednym stoliku siedziała starsza matrona z robótką w rękę, a przy niej przepisywała coś z książki drukowanej młoda dziewczica.

Stary jegomość spojrział z pewnym zadowoleniem na matkę i córkę.

„Kwartę przedniej mąki i pół funta masła” — czytała z książki ciemnooka dziewczica.

— Ale masło ma być pierwiej dobrze sklarowane — uzupełniła matka.

Jegomość buchnął dymem na zapracowane kobiety.

— Niech kaci wezmą te wszystkie książki i poradniki domowe! — zawołał z dobrodusznym uśmiechem pod wąsem; podają różne recepty na wykwinne smakołyki a nie pytają, z kąd to wziąć mąki, masła, rodzynków, pieprzu, szafranu i różnych bakaliów! Po co to robić ludziom oskome, jeżeli pustki w kieszeni i w spiżarni. Jeżeli tak dalej pójdzie, to przy naszych zdobyczach autonomicznych nie wystarczy nam na barszcz i kaszę!

I szerokim krokiem zaczął chodzić po pokoju.

— Ale Jędrzeju — odezwała się żona — przecież nikt zbyt ków nie robi. Oszczędzamy się jak możemy, a jeżeli za tydzień wypadnie nam więcej sąsiadów przyjąć u siebie...

Jegomość zatrzymał się i słodko spojrział na córkę, która na to spojrzenie oczy na stół spuściła.

— Cóż Heluniu — rzekł z uśmiechem — czy domieszasz jeszcze do tej mąki i do tego masła, jakie bakalie sekretne?

Helunia podrzuciła piękną główkę do góry.

— Żadnych czarów przecież nie potrzebuje... — odpowiedziała z rozkosznym uśmiechem — przyjedzie i zje co będzie.

— Znamy go wszakże od dziecka — dorzuciła matka.

Jegomość przeszedł się kilka razy po izbie.

— To prawda — mruzczał pod nosem — ale obawiam się, aby ta sukcesyjka po babce nie zawróciła mu głowy. Trzydzieści tysięcy to ładne grosiwo!

— Przecież dla pieniędzy nie żenią się ludzie! — z pewną urazą odpowiedziała Helunia.

Ojciec zatrzymał się przed nią.

— O kobiety, kobiety! — zawołał śmiejąc się serdecznie — co wam w głowie siedzi. Jeżeli mężczyzna ma trzos pełny, to wy odgrywacie rolę naiwnych aniołków, które nie jedzą i nie piją tylko po powietrzu fruwać! Powiadacie wtedy, że dla kochającego serca grosz jest obojętny, że pieniądze nie mają w romansie żadnej wartości. Ale obróćmy rzecz drugim końcem: gdybyś ty, Heluniu, miała dzisiaj gotówki trzydzieści tysięcy... czybyś wtedy tak samo myślała? czy aspiracje twoje nie byłyby w takim razie wyższe? czy twój mały nosek, który już z natury jest nieco podniesiony, nie zadarłby się jeszcze wyżej do góry?

— Gdybym go kochała, to ja, gdybym go przedtem kochała nim ta sukcesya...

— Więc kochałaś go już przed tą sukcesją?... Rodzice przecież nic o tém nie wiedzieli!

Helunia zapłonęła jak piwonia. Jegomość zaczął z wyrzutem kiwać głową na żonę.

— I tyś o tém kochaniu nic nie wiedziała?—zapytał po chwili żartobliwie. Przed tą pokaźną sukcesją nie wspomniał nam pan Józef ani słówkiem, że o Helunię starać się zamysła. Zresztą sądzę, iż nie miałby nawet odwagi pomyśleć o tém: przysiołek nie wart i funta kłaków a rodzina liczna jak za czasów patryarchalnych!

Helunia otworzyła usta i chciała coś właśnie odpowiedzieć, gdy nagle lekka wibracja powietrza poruszyła szybę w oknie. Siedziała nieruchomie, jakby się nagle w statwę kamienną zamieniła. Ojciec i matka patrzyli na nią niespokojnie.

— Czy ci co jest?—spytała matka.

— Czy ci słabo się zrobiło?—dorzucił ojciec.

Helunia ciągle milczała. Podniosła rękę do góry, jakby nią milczenie nakazywała. Ojciec i matka obejrzeni się dookoła... nic nie widzieli, nic nie słyszeli.

Trwało to czas jakiś. W pokoju i za oknem była cisza głęboka. Tylko od czasu do czasu zabrzączała lekko szyba w oknie, i znów było cicho. Helunia siedziała spokojnie, z widocznym wyteżeniem na twarzy, jakby kogoś podsłuchiwała.

Dopiero teraz ozwał się daleki turkot na drodze, a szyba zaczęła głośnieć dzwieceć. Turkot zbliżał się coraz więcej, aż wreszcie przekroczył bramkę i ustał przed samym gankiem.

Helunia poczerwieniała teraz jak karmazyn, a jegomość nie pytał się już o powód tego rumieńca, pospieszył czempredzją na powitanie ukochanego gościa z sukcesją po babuni.

II.

— Powiadam ci, kochany Józefie—wołał pan Jędrzej, ciągnąc gościa do pokoju—powiadam ci, co to jest ucho kobiece, chciałem powiedzieć panińskie! Ja i moja żona nie słyszeliśmy nic a nic... było cicho jakby mak siał... a ona już słyszała! Bodajto być młodym!

Helunia jeszcze więcej poczerwieniała, ale szczęśliwy ojciec nie zważał na to. Sąsiada z sukcesją posadził na najlepszym krześle, nie dawszy mu nawet czasu do serdeczniejszego przywitania się z kobietami. W braku cygara, dał mu najlepszą fajkę na długim cybuchu, za co jednak konkurent uprzejmie podziękował.

Był to mężczyzna silny i zdrowy; nie liczył więcej nad trzydzieści lat; miał twarz rumianą, ciemny zarost i oczy ciemne, w których przebijała się pewna inteligencja potrzebna do życia towarzyskiego. Nos kształtny, naprzód wyskakujący, okazywał energią i siłę woli a rozwarłe i ruchliwe nozdrza zdradzały skłonność do szybkich wrażeń i namiętności. Dowodem tego były blizny, na skroni i na prawym policzku, pochodzące od cięcia szabli. Wszystkie ruchy jego były niespokojne jak u człowieka, którego dręczy pewne oczekiwanie. To też sąsiad pan Józef niedługo siedział na krześle i niedługo bawił się podaną przez gospodarza fajką; krzesło posuwało się w tył coraz więcej, a fajka co chwila gasła.

Powodem takich nienormalności były oczywiście—kobiety. Potrzeba bowiem było z niemi się przywitać, i to i owo im powiedzieć; osobliwie Helunia rumieńcem swoim sprawiała mu nie mało kłopotu. Ojciec dolewał jeszcze oliwy do ognia: mówił ciągle o czułych bębenkach... uszka panińskiego i o brzęczeniu rozbitej szyby w oknie. Opowiadał dalej, jak ta szyba pękła w skutek kichnięcia Jmć pana Tyburcego, bardzo zacnego sąsiada.

Wszystko to sprawiło, że pan Józef utracił najprzód fajkę z ręki a potem krzesło; szukając zaś bezpieczniejszej lokacyi, usiadł na kanapie tuż obok swojej narzeczonej.

— Otóż go macie!—zawołał szczęśliwy ojciec—tak się kręcił i wiercił, aż wreszcie znalazł sobie miejsce... Prawdę mówiąc, przed miesiącem ani o tém pomyślałem, chociaż z drugiej znowu strony powiem ci pod sekretem, panie Józefie, że Helunia już dawno... o tém myślała.

Helunia przerwała:

— Ależ ojciec...

— Daj pokój dziecko, już ja wiem co mówię. Pannie nie uchodzi, aby mężczyźni spowiadała się ze swoich sekretnych intencyj. Mężczyzna nie powinien nigdy wiedzieć, że zdobywcą jego była tak łatwą. Należy to do dyplomacyi kobiecej.

Ale ojciec... co innego! może on to i owo powiedzieć, do czego córka nawet przyznać się nie chce. Otóż powiadam ci panie Józefie...

— Ojciec...

— Cicho bądź, nie przerywaj ojcu. Powiadam ci kochany sąsiedzie, nim jeszcze spadła na ciebie ta sukcesyjka po nieodżałowanej s. p. babuni...

— Ależ Jędrzeju—przerwała matka—po co tobie mieszać się między narzeczonych; oni sami wypowiedzą sobie wszystko.

— Nie koniecznie, kochanie. Ja naprzykład dotąd tobie nie powiedziałem, że nasza miłość wisiała na włosku. Imć pan Błażej, który miał proces o młyn z twoim ojcem, obiecywał mi jakąś bardzo posażną jedynaczkę na Podolu, do której byłbym niezawodnie pojechał, gdyby nie ten rotmistrz od ułanów, który niby na polowanie do was był zawitał. Jejmość zerkając zalotnie na jego wąsy, co mnie do takiej pasyi przyprowadziło, że jeszcze tego samego wieczoru oświadczyłem się z wszelką formą.

— Androny pleciesz Jędrzeju, androny!

— Nie, nie androny moja duszko! Zważ tylko panie Józefie jakby ci było, gdybyś czuł głód i obiadek chciał sobie zgotować. Idziesz na targ, kupujesz mięso, pietruszkę, cebulę i selery, rozdmuchasz ogień, nastawisz garnuszki i patrzysz niecierpliwie kiedy woda zakipi. Na pierwszą woń gotującej się strawy zaczynasz ślinkę połykać, wyobrażając sobie, jaka to będzie rozkosz, gdy zasidziesz do gotowego już obiadu! A teraz wyobraź sobie co się z tobą dzieje, gdy nagle przed dymiącą już misą ujrzyysz zasiadającego łakomca, który z całym spokojem zawiązuje sobie serwetę pod szyję. Wtedy taka wściekłość może opanować człowieka, że gotówby sam wrzątek wypić i połknąć sztufadę na pół surową!

— Co tobie Jędrzeju dzisiaj do głowy przyszło!

— Nieraz o tém myślałem, tylko tobie kochanie nie mówiłem, bo to zawsze wstyd mężczyźnie, jeżeli jakieś poboczne względy na jego sentyment wpłynęły.

— Ależ ojciec—ozwała się z uśmiechem Helunia—budzisz w mém sercu podejrzenie, że i pan Józef...

— Pan Józef nie potrzebuje, aby dopiero jaki rotmistrz dodawał mu animuszu...

Pan Józef zmarszczył czoło, aż dwie blizny nabrzmiały.

— Gdybym rzeczywiście spotkał się z jakim rotmistrzem—odpowiedział żywo—tobym inaczej sobie postąpił. Wyzwałbym go na pojedynek, porąbał na kawałki, lub postrzelał na sito!

Jmć pan Jędrzej zaśmiał się głośno, aż historyczna szyba w oknie zabrzączała.

— Żle, bracie, zrobiłbyś źle—zawołał pan Jędrzej—przegrałbyś sprawę z kretesem. Pojedynek dobry gdy idzie o honor; strzelać się o pannę, gdy chodzi o jój serce, dyabła warte! Jest pewnikiem, że kobiety wdychają zawsze za nieboszczykiem lub zerkają łaskawie na postrzelonego! Głupia wtedy rola szczęśliwego męża.

— W takim razie jednak inaczej postąpić nie można—odrzekł niecierpliwie pan Józef, patrząc w oczy Heluni.

— Trzeba przemówić do rozsądku—prawił dalej doświadczony pan Jędrzej. Tak samo i ja uczyniłem. Gdy ten rotmistrz wlaźł mi w drogę, wziąłem pannę za rękę i rzekłem: Widzę, że ten ułan dyabelnie pani się podobał. Ma ładne wąsy i brzęczące ostrogi—ale to już wszystko, a ja mam wioskę, mam bezdzietnego stryjaszka, który dziś jutro przeniesie się do chwały Pana Boga, a co najważniejsza mam stały afekt dla pani dobrodziejki, który nie skończy się dyslokacją kwatery, jak to bywa u każdego żołnierza!

— Zapewne ten ostatni wzgląd przeważał szale—zauważyła jejmość z uśmiechem.

— Mniejsza o to, co przeważało—zawołał z dumą pan Jędrzej—wygrana była po mojej stronie. Mam otuchę, że jejmość tego nie żałowała!

W poczuciu niezamąconego szczęścia małżeńskiego, wydmuchnął pan Jędrzej ciemną chmurę dymu i krokiem zwycięzcy przeszedł się kilka razy po pokoju. Milczenie głębokie zappełniło tę pauzę uroczystą.

Po niejakiem czasie zatrzymał się pan Jędrzej przed młodą parą.

Gdy dziecię przyszło na świat, kapłan miejscowy rozłamał sztukę srebrnej monety we troje i pobłogosławiwszy każdy odłamek, zawiesił na szyi nowonarodzonego i jego rodziców, grożąc im wielkimi nieszczęściami, gdyby kiedykolwiek rozstali się z świętym amuletem. To też oboje małżonkowie pilnie strzeżli tego zlecenia, przypisując mu moc czarnoksiężką.

Pewnego dnia, gdy mały Gunga miał już około lat trzech a ojciec udał się do sąsiedniego miasta ze skórami zabitych zwierząt, matka zaś poszła prać bieliznę w rzece — chłopczyzna, bawiący się kwiatkami u stóp rozłożystego bananu, ujrzał idącego gościńcem przechodnia obładowanego zabawkami, który zatrzymał się na jego widok i usiadł opodal od drzewa. Póty przebierał zabawkami, póki dziecko zwabione ich widokiem, nie podeszło bliżej niego: wtedy jął się cofać powoli, ukazując mu takie śliczne, złociste cacko, że chłopczyk biegł za nim, checiwie wyciągając rączkę. Wkrótce wysokie lodygi trzciny cukrowej skryły ich z swych gaszczących, a Gunga, nie podejrzewając nic złego, zapuszczał się coraz głębiej w ruchome sito; niezajomy zatrzymał się nareszcie, wręczył mu upragnioną zabawkę, potem odział go w nową jaskrawą sukienkę i czapkę, nóżki jego bosa obuł w zielone trzewiczki z czerwoną podszewką, a czoło jego młodziutkie naznaczył jakimś żółtym, kabalistycznym znakiem.

Ktoby spotkał tak wystrojonego Gungę ze znamieniem Bramina na skroni, nie domyśliłby się, że ma przed sobą ubogie dziecię ludu, potomka wzgardzonego pasterskiego pokolenia indyan.

Wtedy niezajomy pochwycił zdobycz swą za rękę, a Gunga dumny i uradowany ze swego stroju, szedł za nim, nie stawiając oporu żadnego. Tak doszli do bocznego gościńca, gdzie stał wóz kryty zaprzężony wołami. W głębi siedziała kobieta mająca obok siebie dwoje równie małych i postrojonych dzieci, które chrupały słodycze i bawiły się zabawkami. Mężczyzna wsadził Gungę do wozu, szybko zasunął firanki i popędził woły po bitym gościńcu.

Oto w jaki sposób Gunga skradzionym został rodzicom.

Gdy matka, ukończywszy płukanie bielizny w rzece, wróciła do domu i zastała go pustym, napelniła wieś krzykami rozpacz. Nazajutrz Ram Lal powrócił z miasta z zarobionymi pieniędzmi, wioząc gościnnie żonie i synowi: srebrne kolce do uszów, papużkę zieloną w klatce i łakocie, jakie malec lubił. Zastał wieś całą w popłochu, a Perłę leżącą bezprzytomnie na progu domu, z którego znikło światło życia i wesele.

Chwyciwszy długi nóż swój i topór, nieszczęsny ojciec udał się w zarośla szukać straconego dziecięcia. Przeszukał wszystkie wilcze jamy i jaskinie tygrysów między skałami, na jakie dwadzieścia mil dokoła; przeszukał cały brzeg piaszczysty rzeki, ale nigdzie śladu dziecka nie znalazł.

Pewnego dnia, gdy pogrążony w rozpacz, siedział na pagórku z wzrokiem wbitym w ziemię, naraz zerwał się na równe nogi i wykrzyknął: wiem gdzie się podział syn mój! Tygrys z Kalasungum pożarł go! Nie nosiłem mu żeru przez dni kilka i mszcząc się za to, pozbawił mię dziecka!

I schwyciwszy nóż i topór, pędem puścił się do lasu.

Słońce wzbilo się wysoko i zatoczywszy ognistym kołem po widnokręgu, spuszczać się zaczęło powoli za góry; mgły wieczorne przejrzystą oponą otulać zaczęły ziemię — a on niestrudzony biegł wciąż w prostym kierunku. Słyszał stada wilków wyjących dokoła; widział lampartów biegnących w podskokach, z wzgórze na wzgórze, ale słuch jego i wzrok wyczerpany ku jednemu, nie baczył na otaczające go niebezpieczeństwa. Dalej i dalej pędził jak wichur, jak strzała z łuku puszczone, jak ptak na lotnych skrzydłach rozpiętych w powietrzu; a gdy nakoniec księżyc blade i senny wypłynął na ciemny lazur nieba, ujrzał w oddali, rysujący się na tle skały, czarny otwór jaskini Kalasungum. Skalistą, wąską ścieżką, wijącą się nad urwiskiem, wspiął się do góry i u szczytu ujrzał, w świetle księżyca, rozciągniętego w całej swej długości starego tygrysa — postrach okolicy.

Wtedy Ram Lal zbliżywszy się do króla puszczy, oddał mu głęboki pokłon; ale tygrys nie poruszył się wcale. Ram Lal z skrzyżowanymi na piersiach rękoma, odezwał się pokornie: „O! królu, panie mój, czemuż pozbawił mnie mego dziecka?!”

Słyszając głos ludzki, straszny zwierz podniósł z wolna głowę i wzrok iskrzący wbił w mówiącego.

— Czyż przez te wszystkie lata nie byłem jak syn dla ciebie? O! panie! — ciągnął dalej Ram Lal żałośnie. — czyż nie znosiłem ci żeru, wiedząc żeś zasłaby i zastary by samemu polować? Za te staranie i pieczołowitość wypłaciłeś mi niewdzięcznością: syna mego, moje dziecko jedyne, światło mych oczu i wesele domu mego, zgładziłeś ze świata bez litości!

Tygrys przyłożył głowę do ziemi i wydał ryk straszliwy, przeciągły, od którego ziemia zatrzęsała się a odgłosy puszczy umilkły strwożone. Skały pochwyciły go i odbijając kamieniem echem, poniosły w głębie czarnego jaru.

— A jednak, z goryczą mówił dalej Ram Lal, ja syn twój i potomek, po raz ostatni przychodzę do ciebie, panie, i, jak zazwyczaj, nie z pustymi rękoma... Oto co niosę dla ciebie... — I śmiejąc się jak obłąkany, wyciągnął nóż z pochwy i błysnął zimnym ostrzem stali przed oczyma zwierza.

Tygrys zerwał się, szerść najeżyła się na grzbiecie, z zaciśniętego gardła jego wydobył się ryk ponowny — cichy, zło-wrogi; odchylone wargi ukazały bezzębne szczęki, a stępiele pazury wbiły się w ziemię.

— Przebac mi ojcze! — błagał Ram Lal — przebac to, co zamierzam uczynić! Ale czemuż jest dla mnie życie bez mego dziecka? pustynią bez zielonej oazy, spiekotą bez rosy — ciemnią wieczystą, bez słonecznego promienia... Jeżeli mnie zabijesz, duch mój wyzwolony połączy się z duchem mego syna!... A tak... nie... nie już nie powróci mi mego ukochanego!

Podczas gdy mówił, tygrys tylnymi łapami wsparł się o ziemię, zbierając siły do skoku. Ram Lal, nieulekniony jak rozpacz, która nim władała, wznosił topór nad głowę i przez chwilę dwaj zapaśnicy stali tak naprzeciw siebie, mierząc się straszny, krwią nabiegłym wzrokiem. Naraz zdało się, że skała zatrzęsała się w podwalinach swoich; szybki jak błyskawica, tygrys rzucił się na przeciwnika swego.

Zaden olbrzym obdarzony nadludzką siłą nie wytrzymałby podobnej napaści, to też choć topór Ram Lala wpił się głęboko w wnętrzości tygrysa wydobywając żeń strugę posoki, pod naciskiem straszego zwierza padł on w tył, kalecząc się ostremi iglicami najeżonych skał, które szare i chłodne wychylały się z przepaści. Podniósł się oszołomiony i krwawy jak groźne widmo zemsty, a choć zgubił nóż i topór jego był zdruzgotany, nacierał pięściami, lubo straszny przeciwnik raz po raz powalał go o ziemię.

Białe księżyc wychylając się z za szczytów posępnych gór, był jedynym świadkiem zacieklej walki zrozpaczonego ojca i rozjuszonego zwierza.

Każde draśnięcie groźnych choć przytępionych starością pazurów króla puszczy, zbliżało śmierć Ram Lala, który w końcu wycieńczony, bezwładny, legł na zwilżonej krwią murawie leśnej.

Księżyc zaszedł i nastąpiła godzina ciemności, a gdy jutrenka zaróżowiła niebo, mały skaczące po gałęziach drzew zatrzymały się zdumione, bo na pochyłości góry, wśród skał omszonych, ujrzały rozciągniętego na ziemi człowieka i tygrysa, leżących obok siebie.

We wsi tymczasem, ogólne powstało zamieszanie. Nietylko, że Gunga nie został odszukany, ale Ram Lal przepadł bez wieści. I na cóż zdało się go szukać w lesie? Wszak wiadano, iż słynny łowca wilków bezpiecznym jest od wszelkiej napaści.

Biedna Perła przez dni wiele przeleżała na ziemi, odmawiając wszelkiej pociechy, aż raz, w nocy, gdy wszyscy spali we wsi, podniosła się cicho, obcięła piękne, bujne swe włosy, na znak żałoby, i przywdziawszy wdowią szatę, usiadła pod studnią przydrożną, wyrzucając wszystkim, którzy przychodzili czerpać wodę, że zabili jej męża i utopili syna.

— Powiedźcie mi — wołała do pastuchów, którzy bydło pędzili na paszę — powiedźcie mi ludzie, gdzie są kości mego ukochanego, abym mogła spalić je nad rzeką i duszy jego zapewnić spoczynek wieczny! Zazdrościliście mi szczęścia i dlatego zamordowaliście go podstępnie; dziecko moje jedyne oderwaliście od macierzyńskiego łona!... Ale on wróci, a wtedy przekleństwo spadnie na wasze domy, jak piorun z jasnego nieba! Żony wasze będą wdowami, a dzieci sierotami!

Nieszczęsna kobieta popadła w umysłowy obłąd. I tak siedziała dnie całe w miejscu, czy to w skwarze słonecznym czy w wilgoci, w kurzu czy błocie, wyrzekając skargami, aż włosy jej porosły siwe na głowie, a twarz piękna niegdyś stała się pomarszczoną i postarzała przedwcześnie. Stawiano obok niej napój i jedzenie, którym posiłkowała się nocą, jak gdyby była dzieckiem zwierzęciem. Nikomu jednakże nie czyniła krzywdy żadnej, czasem widywano ją, jak przerywając swe wyrzekania, kładła się na ziemi i łkając rozpacznie wołała całemi nocami na męża i syna, których imiona przywarły do ust jej spieczonych gorączką bólu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Przyjęcia noworoczne. — Rocznica wstąpienia do wojska cesarza Wilhelma. — Wystąpienie „Montags-Revue” i oświadczenie Tiszy — Salisbury i Hartington — Salisbury i Churchill. — Nowa kombinacja. — Posłuchanie deputacji bułgarskiej u lorda Iddesleigha. — Zamiary rejeneyi bułgarskiej. — Uchwala komisji bułgarsko-serbskiej w sprawie Bregowy. — Reorganizacja armii serbskiej.

Rok nowy, który bądźco bądź, choćby dzięki odwiecznemu zwyczajowi, stanowi pewną epokę w życiu człowieka pojedynczego a nawet całych społeczeństw, w polityce tym razem niczem się nie zaznaczył wybitniejszym. Przyjęcia noworoczne były blade; nawet w Berlinie, gdzie uroczystość noworoczną podniósł jeszcze obchód 80-tę rocznicy wstąpienia do wojska cesarza Wilhelma, nie wypowiedziano ani jednego słowa odnoszącego się do obecnego położenia politycznego. Sędziwy jubilat wyraźnie wystrzegł się tego, a sprawozdawcy notują tylko, że w odpowiedzi na przemówienie następcy tronu nie potwierdził, ani słówkiem, wyrażonych z pewnym naciskiem przez syna nadziei pokojowych.

P. Grévy, jak było do przewidzenia, ograniczył się do banalnych frazesów pokojowych i do podziękowania członkom ciała dyplomatycznego, że mu do utrzymania dobrych stosunków Francji z innymi mocarstwami skutecznie dopomagali. Zresztą mówił tak cicho, że połowa wyrazów zginęła dla wszystkich; szczęście, iż to niewielka szkoda.

Dziwnym zrzędzeniem losu, wszystkie śmielsze wyrażenia, bardziej stanowcze objawy dążności i samodzielnej woli, przypadły w tych czasach w udziale Austrii, która nie przyzwyczała wcale świata do energii w starłej polityce.

Przed kilkoma dniami wiedeńska „Montags-Revue”, rozbiierając zachowanie się rządu niemieckiego, powiada, że temperatura berlińsko-wiedeńskich uczuć spadła tak nisko, iż po wyjściu terminu ugody, obadwa państwa będą miały związane ręce do działania na własną odpowiedzialność. „Wtedy — pisze pomieniony dziennik ministerjalny — Niemcy będą mogli zwrócić się z swoją miłością do Rosyi. W odpowiedzi jednak na pretensje księcia Bismarka, że winniśmy wraz z nim udać się z czołobitnością do Petersburga, zwracamy się do niego z zapytaniem: jakby mu się podobało, gdyby mu Austrija zaproponowała, aby się wraz z nią udał do Paryża.”

Obecnie znów prezes ministrów węgierskich Tisza, gdy stronnictwo liberalne przyszło do niego z życzeniami noworocznymi, zapewniwszy o pokojowej dążności wszystkich rządów europejskich, powiedział, że Austrija i nadal w polityce swojej trzymać się będzie ściśle programu wyłożonego przez hr. Kalnokyeego na posiedzeniach delegacji. Przypnać trzeba, że i to oświadczenie było dość śmiałe i stanowcze, jeśli sobie przypomnimy, że program ów nie podobał się w Petersburgu, i że obiegały nawet wieści, iż w skutek niego stanowisko hr. Kalnokyeego zostało zachwianem.

Porozumienie między lordem Salisburyem nie przyszło do skutku i przyjść nie mogło, lubo oni obaj osobiście mieli

wzajemną ochotę zbliżenia się do siebie. Ale torysi oświadczyli Salisburyemu, że nie zgodzą się nigdy na objęcie przez lorda Hartingtona nie tylko prezydium gabinetu ale nawet teki kanclerza skarbu, a unioniści w podobnym sensie zawiadomili Hartingtona, że go opuszczają, jeśli przyjmie jakiegokolwiek stanowisko w gabinecie torysowskim; unioniści bowiem oderwali się od Gladstona z powodu kwestyi irlandzkiej, ale pod wszystkimi innymi względami chcą pozostać zawsze whigami.

Wobec takiego stanu rzeczy, próbowano kompromisu między Salisburyem a Churchillem; kompromis ten jednak nie przyszedł do skutku, zapewne w skutek twardych warunków stawianych przez tego ostatniego. Żądał on bowiem, żeby Salisbury wyrzekł się zupełnie polityki swojej w kwestyi bułgarskiej i zastosował się wobec niej biernie. Obecnie donoszą, że kanclerstwo skarbu w miejsce Churchilla obejmują Goscheu, whig, członek byłego gabinetu Gladstona. Bliższe warunki tej kombinacji nie są dotąd znane, oprócz tego, że Goscheu zdecydował się przyjąć tekę w gabinecie Salisburyego na gorące naleganie Chamberlaina i Hartingtona.

Deputacja bułgarska otrzymała nader posłuchanie u lorda Iddesleigha, ministra angielskiego spraw zagranicznych. Minister był nader uprzejmy, ale przyjął deputatów tak jak ich przyjęto w Wiedniu i Berlinie, to jest w charakterze prywatnym; oświadczył im, że Anglia bardzo sympatyzuje z dążnościami bułgarów i popierać ich będzie, atoli w granicach istniejących traktatów; zresztą radził im, podobnie jak wszyscy inni, aby się porozumieli z mocarstwami bliższymi w tej sprawie interesowanymi. Taka jest urzędowa wiadomość o przyjęciu w Londynie deputacji, utrzymuje się jednak przekonanie, że poufnie lord Iddesleigh powiedział jej dużo więcej, i że deputaci nie żałują fatygi swęj do stolicy Wielkiej Brytanii.

Podług „Ajencji Północnej”, rejeneyja bułgarska, czerpiąc otuchę w słowach Tiszy i w poufnej rozmowie ministra angielskiego, marzy o ogłoszeniu Bułgaryi królestwem niepodległym i o powołaniu na tron księcia Aleksandra Battenberga, zamierzając powiększyć nowe królestwo zjednoczeniem z niem Macedonii. Z Saloniki donoszą właśnie, iż po całej Macedonii obiegają rozrzucone proklamacye, zapowiadające rychłe przyłączenie jej do Bułgaryi. Puszczono też pogłoskę o zamierzonej jakoby podróży księcia Aleksandra do Bukaresztu, ale zaprzeczyła temu wysoce półurzędowa wiedeńska „Politische Correspondenz.”

Komisya mieszana serbsko-bułgarska jednomyślnie przyznała Serbii Bregowę, to jabłko niezgody między dwoma sąsiednimi narodami, a życzliwe dzisiaj stosunki sąsiedzkie każą wnosić, że postanowienie komisji zatwierdzonem zostanie. Rząd serbski krząta się usilnie około powiększenia i reorganizacji swojej siły zbrojnej. Plan tej reorganizacji opracował już generał Horwatowicz.



599) ODPOWIEDZ na pytanie: Co najbardziej skłania dzieci do kłamstwa?

D-r Bourdin, specjalista w chorobach dzieci, wyjaśnia skąd to pochodzi. że ludzie w wieku dziecięcym, uważanym powszechnie za czas niewinności i prawdy, tak często kłamią. Na podstawie własnych doświadczeń d-r Bourdin utrzymuje, że wraz z pierwszą iskierką inteligencji rozwija się w mózgu człowieka pociąg do kłamstwa, któremu ulega większa część dzieci.

Kłamią one opowiadając rzeczy nieprawdziwe, albo starając się ukryć to, co się stało. Dziecko kłamie, aby coś dostać, uniewinnić się albo kogoś w błąd wprowadzić. W samem usiłowaniu, aby powiedzieć coś zajmującego, rozwija się fantazyja dziecka, za jaką następuje popoh do kłamstwa, które nawet w chorobie mózgową czasem się przeradza.

Najwykleszej formy kłamstwa używa dziecko wtedy, gdy pragnie czegoś; w tym razie udaje nieraz chorobę lub milczy uparcie, następnie zaś opowiada rzeczy w których odrobiny prawdy nie było.

Także i gniew pobudza dziecko do kłamstwa; będąc zasłabem, aby czynnie zemścić się na kimś, dopuszcza się ono oszczerstwa.

Do kłamstwa pobudza dziecko także chęć błyszczenia. D-r Bourdin znał pewną młodą dziewczynę, która lecząc się na jakąś dziwną, nieznaną jeszcze chorobę, biegła od lekarza do lekarza, od szpitala do szpitala, aż w końcu przy-

parta do muru wyznała, że jest zdrową a chorobę udawała tylko dlatego, aby zwrócić na siebie uwagę.

Dziecko przekonawszy się raz, że małe kłamstwo uwolniło je od nagany albo kary, używa dalej tej samej broni; d-r Bourdin twierdzi, że małe i słabe dziecko tryumfuje nawet, gdy kłamstwem może wywieść w pole starsze osoby.

Błędnie postępują rodzice, którzy dla dzieci swych są zbyt surowi, gdyż zbyt surowość wywołuje obawę kary a w dalszym następstwie przemysłowanie nad sposobami uwolnienia się od niej, a zatem—popycha dzieci do kłamstwa.

Jaką taktykę rozwijają nieraz dzieci w kłamstwie i udawaniu, dowodzi fakt następujący: Pewnego dnia napotkano na ulicach Paryża małego chłopca, który przez cały rok udawał niemowę; przez dwanaście miesięcy nie chciał powiedzieć ani jak się nazywa, ani k'o są jego rodzice. Gdy przypadkiem dowiedziano się o tych szczegółach i chłopca o tym zawiadomiono, tenże rzekł naraz: Ja nie byłem niemową, ale w przytulku dla dzieci jest mi lepiej niż w domu; nie mówiłem obawiając się, aby nie odesłano mnie do domu.

Niektórzy dzieci kłamstwo, które im się szczególnie podobało, powtarzają częściej, aż w końcu wzmówi w siebie, że to nie kłamstwo lecz prawda.

Na podstawie swych badań d-r Bourdin, że dziecko lubi kłamać że umie kłamstwo wyzyskać zręcznie na korzyść swych złych upodobań.

Winno w tym wiele samo wychowanie; dziecko nieraz nie potrzebowało by czekać się do kłamstw, gdyby wiedziało, że w razie błędu zamiast surowej kary spotka je nagana, życzliwe upomnienie i t. p. przestrogi.

Bardzo zły wpływ wywierają opowiadane różne bajki, gdyż dziecko wie, że bajka to kłamstwo, które jednak nie ulega żadnej karze, czyli że kłamstwo jest dozwoloną zabawą. Dziwne opowiadania o czarnoksiężnikach, olbrzymach i boginiach nieraz już były przyczyną pomieszania zmysłów u człowieka nawet dojrzałego, o ileż one silniej działać muszą na dziecko, które z powodu swęj naturalnej słabości, swego niedoświadczenia, czuje pociąg do kłamstwa.

Wkrótce dowiaduje się dziecko, że nawet jego rodzice nie zawsze prawdę mu mówią, że często na jego ciekawe, niedyskretne pytanie, dają odpowiedź mylną. Doświadczeni, praktyczni ludzie wołają na drażliwe pytanie dziecka albo weale nie odpowiadają, albo odpowiedź na późniejsze czasy odłożyć, lecz większość wybiera drogę wygodniejszą—kłamstwo. Dziecko, które raz schwyta rodziców na kłamstwie, pójdzie za ich przykładem.

Gdy wiemy dlaczego dzieci kłamią i co je do kłamstwa skłania, do jakich nieszczęść zamiłowanie w kłamstwie może doprowadzić, trzeba starać się wszelkimi sposobami zamiłowanie to z dziecka wykorzenić. Środkiem najlepszym jest: łagodne a rozumne obchodzenie się z dziećmi.

600) PYTANIE: Czem są sny i czy można z nich przyszłość przepowiedzieć?

Ze skarbeca prawd. Nie żałujemy nigdy pieniędzy na zbytki a targujemy się tylko o cenę rzeczy pożytecznych.

R E B U S.



Rebus z N-ru 53. Udawanie przyjaźni równa się fałszowaniu monety.

Biskup Fournier z Montpellier spotkał raz na ulicy w Caster chłopca, który mu się bardzo podobał.

- Jak się nazywasz? — pyta go biskup.
- Wiktor Felix — odpowiada chłopiec.
- Ile masz lat?
- Pięć.
- Czem będziesz?
- Biskupem.
- Dobrze, będziesz nim — odparł biskup i od tego czasu żywo chłopcem się zajmował.

W sześćdziesiąt lat później mały Wiktor Felix został arcybiskupem w Seus, a niedawno temu został mianowany kardynałem.

- Młodzieniaszek prosi pewnego jegomości o rękę jego córki.
- Ależ, panie! jesteś za mało młodym — odpowiada ojciec.
- O! proszę pana, ja już mam podagrę.

- Przyszłem wielmożnemu panu powinszować nowego roku — spodziewam się, że i ja dostanę na piwo.
- Dziękuję ale nie przypominam sobie, że bym was kiedy widział.
- A, łońskiego roku pożyczyl mi pan dwa razy wozu i pozwolił paść na ugorze.

- Powiedz mi, kochany przyjacielu, co ty robisz, że zawsze masz pieniądze i nigdy nie kłopotujesz się o nie.
- Nie płacę starych długów.
- A co robisz z nowemi?
- Czekam, aż się zestarzeją.

JAK SOBIE RADZIĆ.

Żeby pierze na których śpiemy nie szkodziły zdrowiu. Zły jest zwyczaj nie przewietrzania przez rok cały pościeli, szkodliwszym jest sypianie na poduszkach i pod pierzynami, których pierze przez długie lata nie widziały słońca, najgorszym zaś sypianie na pierzach starych, na których kilka pokolei wypożyczniku używało. Pościel powinna być przewietrzana kilka razy na rok, a pierze przynajmniej raz na dwa lata powinny być myte i czyszczone. Ta ostatnia operacja dokonywa się w balii, w której pierze wysypane z poduszek i pierzyn piorą się w workach z rzadkiego muslinu, letnią wodą bez mydła. Następnie wieszają się w tychże workach na słońcu i w końcu roztrzępują dopóki zupełnie nie wyschną.

Rolnictwo, przemysł, giełda.

W handlu zbożowym widoczny jest dotąd jeszcze wpływ zastoju światowego. Ruch prawie żadnego, ceny chwiejne, zależne raczej od miejscowych stosunków i okoliczności niż od ogólnych warunków handlu europejskiego.

Giełdy zdradzają istic fantastyczne usposobienie. Jak poprzednio bez żadnych specjalnych powodów, w popłochu jedynie przed ogólną niepewnością położenia, zdradzały na każdym kroku słabe usposobienie i dążność do niżki, tak dzisiaj, gdy położenie to właściwie w niczem się jeszcze nie wyjaśniło ani utrwaliło, okazują dziwną chęć do obrotów i tendencją zwykłą. Dowodem tego jest kurs rubla, który jeszcze w zeszłym tygodniu stojąc mniej więcej stale na poziomie 188,50, na początku eżącego podniósł się nagle na 189,20 i znowu nagle o 1 markę się obniżył.

Warszawa, d. 5 stycznia 1887 r. 5 1/2 Listy Zast. (za rs. 100) 101 — Listy Zast. ser. II lit. A. 100,90.—Listy Zast ser. III lit. A. 100,90.—Listy Zast. M. W. I ser. 100.—Listy Zast. M. W. II ser. 99,50.—Listy Zast. M. W. III ser. 98,80.—Listy likwidacyjne Król. Pol. 94 60.—Marka niem. kop. 50; złoty reński kop. 86; frank k. 42.

Targ Warszawski. Za korzec: Pszenica rs. 7 k. 65.—Żyto rs. 5 k. 15.—Jęczmień rs. 4 k. 10.—Owies rs. 2,85.—Groch rs. 5 k. 10.
— na stacyi Praga. Za pud: Pszenica rs. 1 k. 21.—Żyto kop. 87.—Jęczmień kop. 89.—Owies kop. 85.—Groch kop. 90.—Gryka kop. 75.



Nie mogąc wszystkim po szczególe szanownym naszym czytelnikom podziękować za wigilijne opłatki i noworoczne życzenia, przesyłamy im z głębi serca, stokrotnie—Bóg zapłać! Wdzięczności swojej dowiedzimy ciągłym staraniem o postęp pisma naszego pod każdym względem; praca ciężka łatwą dla nas będzie przy takich wspomnieniach.

Dobry pan. Najchętniej drukujemy list oficyalisty prywatnego, który jest zadowolniony z losu swego. Niestety, oficyalistów takich dziś jest niewiele; jedni zazdroszcząc bytu ludziom zamożniejszym i zdolniejszym—są zagniewani na porządek społeczny, który jednych nad drugich wywyższa; inni są rzeczywiście ofiarami niesumiennych chlebobawców, którzy w służbie swoim nie umieją uszanować człowieka.

„Falanga oficyalistów jest dzisiaj przerażająca; kuryerki przepelnione są prośbami rządów dóbr, ekonomów, leśniczych i t. p. Łatwość w wyborze oficyalistów nadzwyczajna a najmniejsze uchybienie powoduje wydalenie oficyalisty, bo na jego miejsce stu innych się zaraz zgłosi. Z jaką przyjemnością dowiadujemy się o doskonałym bycie oficyalistów oraz służby dworskiej w dobrach Wola Pękoszewska, pod Mszczonowem, należących do p. J. Górskiego.

Kto się tam dostał na służbę, może być pewnym, że postępując dobrze, służąc uczciwie zestarzeć się może na miejscu. Wszyscy niemal gajowi są to dawni chłopcy kredensowi, lokaje lub karbowi, którzy na łatwej posadzie dosługują wypłacanej przez właściciela weteranom-rolnikom emerytury.

Każdy służący lub oficyalista, nieszczęściem dotknięty, znajduje dorazną bądź w naturze, bądź w zasiłku pieniężnym pomoc. Nikogo bez dowiedzionej a ciężkiej winy nie wydalą. Wydalonego przez rządę, w nieobecności właściciela, gajowego za upijanie się od czasu do czasu — czcigodna żona właściciela, po porozumieniu się z rządę, pozostawiła nadal, albowiem — „zawielka to była kara”.

W wypadku choroby jest bezpłatna pomoc doktora i bezpłatne lekarstwa z dworskiej apteki.

Niezależnie od bytu materyalnego, właściciel dba także o moralność służby i oficyalistów. W obszernych dobrach niema ani jednej karczmy, miejsce ich zajęły gospody chrześcijańskie.

Za przykładem właściciela, wszyscy w każdą niedzielę i święto muszą być w odległym o wiorst parę kościele parafialnym. Przed mieszkaniem każdego oficyalisty zajeżdża bryczka i zabiera go na nabożeństwo. Nie modlą się jednak z musu, lecz z przekonania, że co Bogu, to Bogu.

Wszyscy pracują gorliwie, szacunek i wdzięczność zachowując dla chlebobawcy swego; pracują z tą wiarą, że na starość nie nawiedzi ich nędza i opuszczenie.”

Post-scriptum.

Sz. ks. Mikołajewski w Ch. Brak nam słów na wyrażenie wdzięczności za list z takim sercem pisany; Gwiazdka taka przez rok cały pracy naszej przyświecać będzie.—P. A. Moraczewski w B. Powodzenia w szlachetnym zamiarze! Kto chce szczerze się kształcić, ten znajdzie ku temu sposobność, a tembardziej kto młody i zdolny.—P. P. Moro w S. Uprzejme dzięki za uczynne pośrednictwo.—P. J. Kozicka w S. Pamiętne nam będą słowa życzliwe.—Ks. Z. Drejfer, ks S. Raczkowski w Ż., ks. W. Załuski w S. Wierzymy w takie „Szczęść Boże”.—

P. p. J. Kaliński w K., D. Czarnecki w S. Serdeczne dzięki za przyjacielskie pośrednictwo.—Sz. prenum. w Głębokiem. Biesiadę wysyłamy p. S. Duszewskiemu. Dziękujemy najprzejmiej i mamy nadzieję, że się znowu spotkamy.—P. N. Sulc w Kołomyi. Wystaw w ten sposób urządzonych sklepy warszawskie nie używają; są tylko szafki wywieszane na ścianach zewnątrz sklepu. Za dobre słowo Bóg zapłać.—Sz. ks. F. Zajączkowski w G., p. S. Murof w R., p. J. Jędrzejowska w K., Sz. ks. A. Bądowski w P. (o portretach oprawnych donieśliśmy w liście). Za oplątek i życzenia niech Bóg nagrodzi.—P. Justyna K. w Karsach. Poemat posiada wiele zalet; chcemy umieścić go w całości. I powiastka się przyda, z malém nb. Utwory dramatyczne możemy doręczyć dyrekcji Teatrów warsz. Konkursa dramatyczne dają nam nieco ale nie wszystko, czasem zaś nic. Najlepiej robią ci, którzy czując w sobie zdolność i ochotę, nie czekają na igrzyska ale pracują ciągle i pracę swoją w świat wysyłają. Talentów literackich mamy tak mało, że najdrobniejszy przyrost uważać trzeba za pomyślność i starać się o nie ze wszystkich sił swoich. Uprzejme dzięki za przyjaźń trwała i za ufność.—P. Marya O. w W. List sz. pani powinna przeczytać każda nauczycielka, która na swój los narzeka; tyle w nim odwagi, tyle ochoty do najcięższej pracy, byle ona była uczciwą a szła na pożytek społeczeństwu, że ludzie nawet otrząskani z tém wszystkim co się pisze i drukuje, poczuli w sercu nową otuchę. Co do zamiarów sz. pani na przyszłość, trzeba udać się z prośbą do właściwego arcybiskupa; uzyskane od niego pozwolenie, może dopiero służyć do dalszych starań. W tym przedmiocie może dać objaśnienie przełożona któregośkolwiek zgromadzenia Siostr miłosierdzia. Służba to piękna, choć ciężka bardzo, jeżeli ma być spełnioną z wyrzeczeniem się wszelkich przyjemności; do niej trzeba wyjątkowych charakterów i wyjątkowych uzdolnień—to także nauczycielstwo ale trudniejsze niż szkolne, bo przy łóżu chorych i konających.—P. N. we L. Na pocztę winy zwalać nie będziemy; rękopism otrzymaliśmy dość weześnie, ale nie był on prezentem na Gwiazdkę, od której chcemy blasku pogodnego; powiastka, smutna, zanadto tendencyjnie nędzę ludzką porównywa z twardém sercem bogaczy. Przynajmniej w jeden dzień na rok pozwólmy biedakom nie zazdrościć a bogatym nie rozbić; przynajmniej w wigilię Bożego Narodzenia niech ludzie będą ludźmi a nie zwierzętami zagryzającymi się o kość jessze niewygotowaną.—Amatorowi sielaw (st. Troki). Pan narzekasz na p. Girdwoynów, a my wysoko cenimy ich pilność gospodarczą; panu niepodoba się tak ściśle pilnowanie jeziora trockiego, że „nie można ułowić ani jednej rybki dla własnej przyjemności” a my pochwalamy tropienie kłusowników stawowych, którzy wędkami i trutkami tyle robią szkody naszym wodom ile leśni złodzieje zwierzyńie. Dawniej—ubolewasz pan—można było zabawić się łowieniem a dziś za każdą sielawkę trzeba płacić. Wyborniel I panom Girdwoynom, dzierżawcom jeziora, nie sypie się manna z nieba, i oni muszą za dzierżawę jeziora płacić, i im sielawy niby gołąbki pieczone na stół nie przychodzą. Dotychczas nie uważano za grzech pożyczyc książki i nie oddać jej; przynęcić psa, obciąć mu ogon, uszy i zatrzeć ślad jego pochodzenia; pofarbować grzywę koniowi i podpalić mu zęby... teraz tego rejestru „facecyj sąsiedzkich” przybywają... sielawy! Wkrótce za facecye uważać pocniemy cudze buty, szuby a skończymy na folwarkach i kamienicach.



POWINSZOWANIE REDAKTORSKIE.

Rysunek O. Motta.

Litwinowi w Kolbiel. Tygodnik rolniczy „Hodowca” uzyskał pozwolenie używania tytułu „Rolnik i Hodowca”. Encyklopedia zapowiedziana przez to pismo wychodzić nie będzie, natomiast prenumeratorowie nabywać będą mogli na korzystnych warunkach wielką Encyklopedyą rolniczą, której wydawnictwem zajmie się Muzeum rolniczo-przemysłowe, pod redakcyą d-ra T. Kowalskiego. Cieszy nas taki obrót sprawy—siły redakcyjne już się w konkurencji nie zmarzną; kazanie na które w Raptularzu zadzwoniłmy na coś się przydało.—Dr Witoldowi N. w Wilnie. Wystawa higieniczna odbędzie się w m. czerwcu na placu Ujazdowskim, w zabudowaniach po wystawie inwentarza. Objeńmować będzie pięć grup: 1) higienę żywienia; 2) odzieży; 3) mieszkań; 4) higienę szkół, warsztatów i szpitali; 5) statystykę i meteorologią. O ile w pierwszej chwili wystawa miała przeciwników, o tyle teraz cieszy się ogólną sympatją. Hr. Augustowa Potocka, protektorka wystawy, ofiarowała rs. 1.000 na kosztą jej urządzenia.

Spółdziałal lekarzy całego kraju jest wielce pożądanym, miasto lub okolica posiadająca apteki i doktorów a nieobecna na wystawie będzie zapisana na czarnej tablicy, na której figurują zwykle niedbali lub zafofani.—Muzeum techniczno-przemysłowe krakowskie. (P. Albinie w Tursku). Wykłady dla kobiet w Muzeum trwają już rok dziesiętnasty. W r. z. na wydziałach nauk przyrodniczych, historyczno-literackim, sztuk pięknych, handlowym, gospodarczym, wykładali profesorowie uniwersytetu Jagiellońskiego i gimnazjów. Pomieędzy wykładowcami są takie powagi jak D. Wierzbicki, Wł. Szajnocha, J. Rostański, K. Grabowski, M. Sokolowski, G. Ehrenberg, T. Ziemia, M. Baraniecki, L. Malinowski, F. Bylicki, W. Łuszczkiewicz, J. Kopernicki, W. Gujski, J. Matejko, K. Lange, M. Nowicki i wielu innych zaszczytnie znanych pedagogów. Czciogodny dyrektor Muzeum M. Baranowski to dusza całej naukowej gospodarki; czynny, idealnie bezinteresowny, jest wzorem zaparcia się dla ukochnego celu.—P. K. Przybytek w M. Wysłałmy portrety Skargi i Ja-

dwigi, chociaż należały się one dopiero po rozwiązaniu zadań sześciu a nie dwóch. Prosimy zobaczyć warunki konkursu i przyznać, że żądanie nagrody było omyłką. Dajemy ją jednak tylko dlatego, aby młodzież zachęcić do pożytecznej zabawy. Ale gdzie tu jest wyzyskiwanie cudzej pracy? Odgadywanie zagadnień nam nie nie pomaga, ani niczego nas nie uczy.—Sz. ks. M. D. w Czek. Portret olejny wykonany na prasie drukarskiej, wpraw jest robiony kolorami na kamieniach; ile kolorów tyle razy portret przechodzi przez prasę. Ilość kamieni zależy od ilości kolorów; im portret ma być lepszym tóń ilość kolorów jest większa; portrety przez nas wydawane potrzebują kamieni od 18 do 30-tu. Produkcyę takie nazywają się w handlu oleodrukami.—Adwokat. (P. A. Puksta w Nieświeżu.) Sprawy o napad w lesie i porabianie sani trzeba powierzyć adwokatowi zajmującemu się sprawami kryminalnymi. Wątpimy czy panu w tym razie dogodzi adwokat uprawiający sprawy rozwodowe, chociaż nieraz rozwód jest do rozbój podobny. Adres: Elekoralna, n-r 45.—Okulary. (P. Teofila B. w Kaliszu). Najlepiej dobierze zakład optyczny „Berenta i Plewińskiego”, Krakowskie-Przedmieście.

Treść numeru 575 Biesiady Literackiej, ilustracji warszawskiej: Z Warszawy.—Herb na giełdzie, powieść Jana Zacharyasiewicza.—Do Nowego roku (wiersz).—Z krainy piękna.—Zakładnicy lwowscy (1672), przez D-ra J.—Pociągi dziennikarskie.—Raptularz tygodniowy.—Syn tępicieła wilków, nowella.—Listy polityczne.—Okruszyń: Odpowiedź na pytanie: Co najbardziej skłania dzieci do kłamstwa?—Ze skarba prawd.—Humorystka.—Jak sobie radzić.—Rolnictwo, przemysł, giełda.—Gazetka.—Post-scriptum.—Przewodnik.—Rysunki: Nowy Rok.—Z krainy piękna. (Rysował J. Ryszkiewicz).—Wesele krakowskie. (Akwarela J. Kossaka).—Daj nam Boże! (Rysunek A. W. Naukego).—Powinszowanie redaktorskie. (Rysunek O. Motta).—Rebus.—„Dodatek powieściowy” zawiera powieść z dziejów Hiszpanii: Maurytanka, arkusz 1.

Cena prenumeryjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się jednorazowo rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38; z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monetę obcą, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszej redakcyi w monecie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcyja nie odpowiada.

Adres: Księgarnia i Redakcyja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Довзделено Цевзурою. Варшава, 24 Декабря 1886.—Biesiada Literacka wychodzi w każdy Piątek.—Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora-Wydawcy **Władysława Maleszewskiego**: Chmielna Nr 26.